



Rozjazdy

nr 7/2022

PISMO KOLA TURYSTYCZNEGO



Szczęśliwa siódemka

Mamy zaszczyt oddać w Wasze ręce siódmy numer Rozjazdów. Liczba siedem już od starożytności jest uważana za niezwykłą, przynoszącą szczęście. Dla nas, miłośników podróży, wielkim szczęściem była możliwość stanięcia twarzą w twarz i rozmowa ze znanym podróżnikiem i autorem książek Łukaszem Wierzbickim. Efektem tego spotkania jest artykuł zamieszczony na łamach niniejszego numeru. Zapewne wielu z Was czytało „Afrykę Kazika” czy „Dziadka i niedźwiadka”. W siódmych Rozjazdach będziecie mogli przeczytać o nowej książce pana Łukasza (dowiecie się, co, a właściwie: kto łączy ją z naszym kołem turystycznym).

W tym numerze przygotowaliśmy niespodziankę dla poznańskich fanów piłki nożnej. Z nami będziecie mogli cofnąć się w przeszłość i poznać wszystkie stadiony, które były ważnymi elementami naszego miasta i jego sportowej historii.

Na łamach naszego kwartalnika zagości również wspomnień czar. Przypomnimy wyprawę koła turystycznego z 2018 roku do Doliny Bobru. Nie zabraknie także stałego elementu: „Kontrola paszportowa”.

Jeden z naszych redakcyjnych kolegów zabierze Was w cudowny spacer po naszym mieście. Opowie o swoistych diamentach na mapie Poznania. Wierzcie albo nie, ale ja, czytając ten artykuł, poczułam zapach kwiatów i przeniosłam się z autorem w opisywane miejsca. Czego i Wam życzę.

Nikola Wolszczak
redaktor naczelna

SPIS TREŚCI:

- ZDJĘCIE NUMERU → s. 3
- WYWIAD Z ŁUKASZEM WIERZBICKIM → s. 4
- BĄDŹ TURYSTĄ WE WŁASNYM MIEŚCIE → s. 14
- Z KRONIKI KOŁA → s. 26
- PATRZĄC NA PÓŁNOC → s. 29
- KONTROLA PASZPORTOWA → s. 38





Wszystkie pobyty nad morzem wspominałam raczej miło, ale zdecydowanie zawsze byłam górkim człowiekiem. Widok i szum morza wydawały mi się monotonne. Mimo to, stając na brzegu i patrząc na fale oceanu po raz pierwszy w życiu, poczułam głęboki zachwyty. Zapierający dech w piersiach i niespodziewanie napełniający oczy łzami. Zaraz potem przyszedł spokój, momentalne odprężenie. Pustka w głowie, doświadczanie chwili, bycie tu i teraz. Niektórzy próbują medytacją osiągać ten stan, do mnie przyszedł wtedy zupełnie nieoczekiwanie. Stałam tak chwilę bez ruchu, bez myśli. Tylko ja i fale daleko przede mną.

Pierwszym, co przyszło mi do głowy na brzegu oceanu, było zaskoczenie tym, jak on brzmi. Morze szumi, ocean — ryczy. Huk fal uderzających w tafłę wody jest ogromny. Odległość łagodzi ten dźwięk, ale różnica jest znacząca. Patrząc na horyzont i wsłuchując się w ocean, łatwo poczuć, jak niewielką istotą jest się wobec potęgi żywiołów. Łatwo zapomnieć o całym świecie. Być tu i teraz, oko w oko z Naturą.

zdjęcie i tekst: **Weronika Dolata**

„To opowieść o dwóch młodzińcach, którzy mieli zuchwałe marzenia”

wywiad z ŁUKASZEM WIERZBICKIM (cz. 1)



Łukasz Wierzbicki —
poznaniak, autor książek
podróżniczych i historycznych
dla dzieci, podróżnik.
Autor m.in. „Afryki Kazika”
i książki „Dziadek i niedźwia-
dek”. Założyciel wydawnictwa
Pogotowie Kazikowe, jego
spotkania autorskie cieszą się
ogromną popularnością
wśród najmłodszych i nieco
starszych.

Z Łukaszem Wierzbickim spotykamy się w naszej szkole w sali geograficznej. Reprezentacja Koła Turystycznego czeka z herbatą i pysznymi ciastkami, żeby wysłuchać opowieści o książkach i podróżowaniu. Nasz gość rozkłada na stole stare roczniki, kroniki i książki, których jest autorem. Tym razem jednak z „panem od Kazika” nie będziemy rozmawiać o podróży Kazimierza Nowaka, którą Łukasz Wierzbicki odkrył dla czytelników ponad 15 lat temu i spopularyzował do tego stopnia, że trafiła na szkolną listę lektur. Spotykamy się bowiem pod wiszącym na ścianie portretem patronów Koła, czyli Leona Mroczkiewicza i Tadeusza Perkitnego, a do księgarni właśnie trafia książka „Wokół świata na wariata”.

Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach poznał pan Leona i Tadeusza¹?

To bardzo długa znajomość. Poznaliśmy się, gdy byłem dzieckiem. Mój dziadek opowiadał mi wiele różnych historii. Najważniejsza była oczywiście ta o Kazimierzu Nowaku, ponieważ w pewnym momencie zmieniła całkowicie moje życie i wyrzuciła je do góry nogami i to właśnie dzięki niej nie pracuję już w banku, a siedzę tu z wami (śmiech). Do takich historii należała też ta o Leonie i Tadeuszu i ich zwariowanej wyprawie dookoła świata. Dziadek miał oczywiście książki „Z setką złotych naokoło świata” i „Okrążmy świat raz jeszcze”. Dobrze znałem ich treść i żyłem w przeświadczeniu, że każdy zna ją tak samo dobrze jak ja, i że nie można w tej historii dodać nic więcej. Jednak podczas wielu rozmów z ludźmi, nawet interesującymi się podróżniczą literaturą retro, przekonywałem się, że wcale tak nie jest.

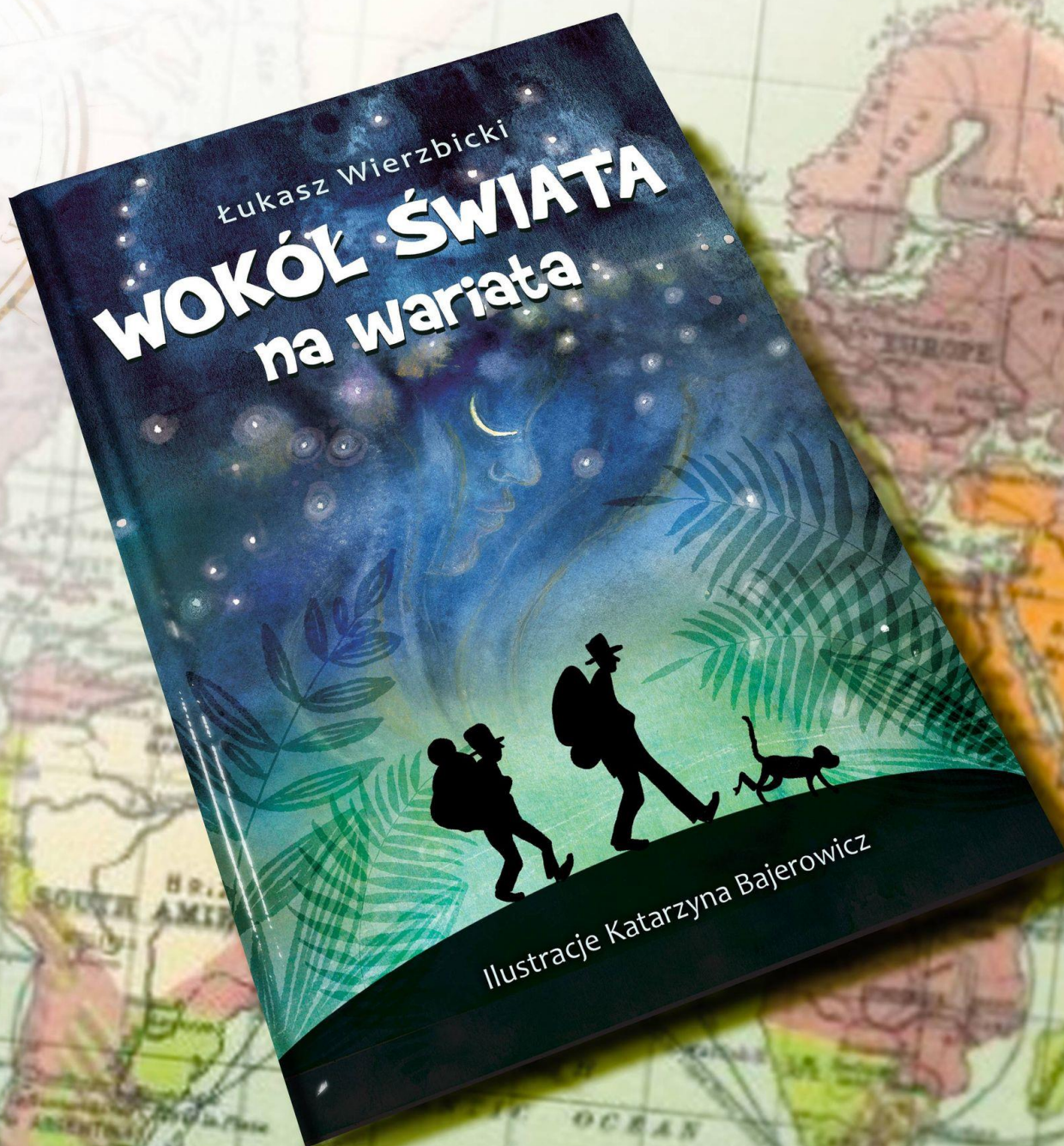
Którędy wiodła droga do pomysłu na książkę?

Przez Bibliotekę Raczyńskich. Chciałem sprawdzić, czy jest jakieś pole, na którym historię Leona i Tadeusza można jeszcze spopularyzować. Umówiłem się w Dziale Zbiorów Specjalnych, a tam pani Agnieszka zaprosiła mnie do pokoju, w którym na wielgachnym stole stało kilka pudeł i skoroszytów. Wjechało to wszystko na takim wózku, a ja poczułem się jak Indiana Jones, który wszedł do świątyni. Zobaczyłem tam skarby, jakich świat nie widział: notatki, kosztorysy, odbitki zdjęć, bilety. Wtedy pomyślałem, że spróbuję zmierzyć się z tym tematem, że opiszę ich wyprawę, ale w formie powieści dla dzieci.

Jaka to będzie książka?

To będzie opowieść taka, jaką przekazali Leon i Tadeusz. Będzie zabawnie, ponieważ Tadeusz Perkitny w pamiętnikach ma bardzo rubasne poczucie humoru. Będzie też niesamowicie, bo przygody przez niego opisane wydają się tak nieprawdopodobne, że aż trudno nie

¹ Leon Mroczkiewicz i Tadeusz Perkitny od lutego 2020 roku są patronami Koła Turystycznego w IX LO w Poznaniu. W latach 1926-1930 odbyli podróż dookoła świata, byli cenionymi wykładowcami poznańskiej Wyższej Szkoły Rolniczej (dziś Uniwersytet Przyrodniczy) w dziedzinie hodowli lasu i technologii drewna. (Wszystkie przypisy pochodzą od autorów wywiadu).



zastanawiać się, czy autor nie koloryzował. Trudno uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Będzie inaczej niż u Kazika, gdzie na kartach mojej książki bohater jest zawsze uśmiechnięty, wszystko mu się udaje, a rzeczywistość wokół jest bardzo kolorowa. W „Wokół świata na wariata” sytuacja wygląda inaczej. Bohaterowie nic nie robią jak powinni, popełniają mnóstwo głupstw, pozornie nic im się nie udaje, a przecież mimo to objeżdżają cały świat! Opowiadam przygody

z perspektywy Leona, to on będzie narratorem, Tadeusz zaś to osobnik z głową pełną pomysłów, lekko postrzelony, taki człowiek renesansu, który potrafi i wiersz napisać i statek zbudować. Nigdy nie spotkałem się osobiście z Mroczkiewiczem i Perkitnym, ale dobrze poznałem ich relacje z podróży, podziwiam ich poczucie humoru, dystans do siebie i zachwyty nad światem. Poczułem pewien rodzaj pokrewieństwa dusz, który pomógł mi opowiedzieć tę historię.

Podczas uroczystości nadania patronów naszemu Kołu, prezentując podróż Leona i Tadeusza, pani Karolina Tomczyk-Kozioł powiedziała, że dla niej to historia o pięknej męskiej przyjaźni. Dla pracowników Uniwersytetu Przyrodniczego, na którym wykładali nasi bohaterowie, to zapewne opowieść o naukowej pasji i chęci „zobaczenia własnymi oczyma różnych szat leśnych globu, dotknięcia ręką ich gąszczy, poczuć ich woni, usłyszenia ich grania”. Jak pan odczytuje historię tej niezwykłej wyprawy?

W mojej powieści bohaterowie przekonują się o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że gdziekolwiek docierają, czują się jak w domu. Czytając reportaże Perkitnego i oglądając zdjęcia, widać, że oni są szczęśliwi. Czy są w ośnieżonej Szwecji, czy na Riwierze Francuskiej, czy gdzieś wśród Polonii w Brazylii, czy w dżungli w Wietnamie – wszędzie tworzą sobie dom. Przekonują się, że domem nie są korytarze i cztery ściany z sufitem, miejsce zamieszkania, ale, jak mawiają Anglicy: „tam gdzie powieszę mój kapelusz, tam jest mój dom”. Oni się o tym przekonują. Dla nich stopniowo cały świat staje się domem. Druga sprawa to oczywiście wielka przyjaźń. Bardzo im tego zazdrozczę, mieć takiego kumpla to coś wyjątkowego. Być może ta zazdrość sprawiła, że w mojej powieści opisałem poważną kłótnię przyjaciół. Nie było takiej sytuacji w rzeczywistości, a przynajmniej nic o niej nie wiemy, ale w mojej książce bohaterowie rozdzielają się na całe dwa rozdziały.

Jest to też chyba opowieść o tym, jak zmienił się świat. Przecież Leon i Tadeusz, docierając do obecnego Wietnamu, dopiero kreślą mapy tych terenów, jest to podróż w nieznane, bez internetu. Dziś przez globaliza-

cję świat się mocno zmniejszył. Na ekranie komputera możemy jednym kliknięciem zobaczyć, jak wygląda uliczka gdzieś w Chile, plaża na południu Francji czy droga przez argentyńskie pustkowia. Z jednej strony podróżowanie jest łatwiejsze, ale czy lepsze? Czy nie straciło czegoś ze swojej magii i romantyzmu?



Nie musicie mnie o to pytać, przecież widzieliście, jaki mam telefon² (śmiech). Oczywiście, odczuwam pewien rodzaj tęsknoty za minionymi czasami. Nawet gdy oglądam zdjęcia przedwojennego Poznania, łapię się na tym, że myślę „ale wtedy było fajnie”. Wszechogarniająca świat cywilizacja przytłacza mnie czasem. Odpowiedzią na to pytanie może też być książka, którą przełożyłem z języka angielskiego: „Krótka historia postępu”³. Ronald Wright zastanawia się w niej, czy nasza galopująca cywilizacja, pędząca za nierzadko wymyślanym

² Jeszcze przed rozpoczęciem rozmowy nasz gość wyciągnął z kieszeni starą, nieśmiertelną Nokię.

³ Autorem książki jest Ronald Wright.



postępem, obiera dobry kierunek i czy na końcu tego wyścigu nie czeka na nas przypadkiem pułapka, być może śmiertelna. Dziś trudno byłoby podróżować w sposób, w jaki robili to Tadeusz z Leonem. Wszędzie, gdzie docieramy, czeka już infrastruktura, a turystę traktuje się przede wszystkim jak klienta.

Autorzy często wskazują rozdział lub scenę, którą w ukończonej książce uważają za najważniejszą...

Najważniejszy moment w książce, to taki trochę metafizyczny fragment. Na Hawajach Tadeusz nocuje na plaży, a Leon postanawia wspiąć się na wulkan. Wyobraziłem sobie, że spotyka tam Papahānaumoku, czyli hawajską boginię, matkę-ziemię, i ona opowiada mu legendę. Bardzo jestem ciekaw, jak dzieci odczytają tę opowieść i jak na nią zareagują. Bogini miała dwóch synów i zapytała ich wieczorem: „Jakie macie marzenia?”. Jeden z nich powiedział, że chce się rano obudzić, złowić rybę, zjeść ją i wieczorem położyć się spać. Drugi z nich odrzekł, że chciałby pojechać do króla tej wyspy, poślubić jego najpiękniejszą córkę, zjeść wszystkie najtłustsze wieprze z jego zagrody, usiąść na jego tronie i by król poczęstował go nektarem podanym w złotym pucharze. I tu opowieść się kończy. Słuchacz zapewne zapyta: „I co dalej? Spełnili te swoje marzenia czy nie?”. Na co Papahānaumoku odpowiada: „Oczywiście, że tak. Obaj spełnili”. I to właśnie przesłanie. Jakikolwiek będziemy mieli marzenia, możemy je spełnić – czy one będą zwariowane, czy pragmatyczne i proste, to nie ma znaczenia. Chodzi o to, żebyśmy tych marzeń szukali, a potem szukali sposobu, żeby je spełnić! Warto być w tych marzeniach zuchwałym, a czy nam się uda, czy nie, to mniej istotne – ważne, by próbować. Ta cała historia jest o dwóch młodzieńcach, którzy mieli zuchwałe marzenia.

Czego jeszcze nauczą nas bohaterowie na kartach „Wokół świata na wariata”?

Jeśli dokładnie wczytać się w relacje z wyprawy publikowane na łamach prasy, można dostrzec, że dla Tadeusza i Leona jest to też życiowy egzamin. Oni bardzo chcą sprawdzić się w praktyce. Mają ambi-

cję, żeby pokazać, że wiedza akademicka to jedno, ale dopiero włączenie, daje możliwość zdobycia wiedzy praktycznej. Jest w mojej książce taki rozdział „O drzewach, które puszczają bąki”. Ścinają drzewa w selwie i co jakiś czas dookoła roznosi się straszny smród. Przyjaciele zaczynają się kłócić, który z nich zanieczyszcza powietrze, ale żaden nie chce się przyznać. Dopiero wieczorem przy ognisku gospodarz tłumaczy im, że drzewo, które tutaj rośnie, to o czerwonych liściach, gromadzi pod korą gazy. Kiedy jakiś drwal zaczyna je rąbać, to te gazy się uwalniają i niejednego trzeba było już nieprzytomnego znieść z wyrębu w bezpieczne miejsce i cucić, bo drzewo go zagazowało. Na to Tadeusz drapie się po głowie i mówi, że tyle lat nauki w szkole, tyle wykładów, ale o takim drzewie nikt mu nigdy nie powiedział. Gospodarz zaczyna się śmiać i puentuje, że prawdziwa szkoła jest tutaj. To bardzo prawdziwa sytuacja. Gdy wyjeżdżałem pierwszy raz do Afryki, przeczytałem wiele książek, ale na miejscu ta wiedza okazała się niewiele warta. Zdecydowanie mniej warta niż to, czego doświadczyłem i to, co mogłem chłonąć podczas podróży.

Od tematyki podróży znacznie odchodzi książka „Drzewo”, skąd wziął się na nią pomysł?

Czułem bardzo silną wewnętrzną potrzebę napisania książki o mitach słowiańskich. Chciałem spróbować pójść w innym kierunku. Nie chciałem jako autor być kojarzony tylko i wyłącznie z książkami podróżniczymi. Może dlatego, że sam cenię twórców, którzy potrafią zaskoczyć. Zawsze fascynowali mnie twórcy, którzy szukają wyzwań i nowych pomysłów. Jednocześnie czułem frustrację spowodowaną tym, jak mało wiedziałem o naszej rodzimej mitologii. W każdej bibliotece, w każdej księgarni jest mnóstwo wersji mitologii greckiej, rzymskiej, nordyckiej, a tak mało opracowań przystępnych i atrakcyjnych mówiących o słowiańskich mitach. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że praca nad tą książką będzie tak niezwykłą przygodą.

Jakie było pańskie nastawienie w stosunku do historii, które pan rekonstruował?

Byłem przekonany, że te dawne historie, mity pomagały naszym przodkom oswoić świat, który ich otaczał. Świat był zdominowany przez przyrodę: zjawiska na niebie, zmieniające się pory roku, księżyc, słońce. To wszystko bardzo pobudzało wyobraźnię. Mity oprócz tego miały pewną fabułę, a jak wiadomo to fabuła jest tym wabikiem, który przykuwał uwagę słuchacza, mity pełniły kiedyś rolę takiego Netfliksa. Niosły też za sobą mądrość, próbowały opowiedzieć jakoś otaczający świat. Dlatego też ta książka powstawała tak długo. Czekałem na kolejną porę roku, żeby poczuć zimą, odwilż, później wiosnę. Brałem rower i jechałem nad Wartę, łąziłem po lasach, chodziłem na bosaka po moim trawniku, by poczuć rosę, wypatrywałem gwiazd na niebie, przypominałem sobie, jak ważna kiedyś była Droga Mleczna... To nie jest obszerna książka i może wydawać się dziwne, że tak długo ją pisałem, ale czasami na jedno zdanie czekałem dwa tygodnie i właśnie pod wpływem na przykład rosy na trawie w głowie rodziły się kolejne słowa opowieści.

Co zyskał pan, pisząc „Drzewo”?

Oprócz ogromnej wiedzy na temat mitologii, bo przeczytałem ponad 100 książek, po których czułem się jakbym zrobił kolejny fakultet, książka „Drzewo” pozwoliła mi odbudować więź z naturą. Szukałem inspiracji nie tylko w literaturze, ale także w przyrodzie. Była to dla mnie wspaniała przygoda, bo nie tylko zrekonstruowałem cztery opowieści, ale dodatkowo wróciłem do swojej dziecięcej fascynacji przyrodą. Jako dziecko spędzałem mnóstwo czasu na łąkach, polach, na ścierniskach, nad wodą i ta książka przypominała mi, jakie to ważne. Od czasu napisania tej książki, zacząłem tęsknić za przyrodą i cywilizacja czasami mnie uwiera. Czuję się zdecydowanie bardziej częścią świata naturalnego niż tego industrialnego, który zewsząd nas otacza. „Drzewo” było dla mnie wielką przygodą i radością. Cieszę się, że ta książka została bardzo dobrze przyjęta. Wiele razy usłyszałem, że takiej książki brakowało i że dobrze, że w końcu jest.

Współpracował pan też Aleksandrem Dobą nad książką „Ocean to pikuś”. Czy Aleksander Doba miał coś wspólnego z Leonem i Tadeuszem?

Na pewno zuchwałe marzenia, Olek Doba dokonał czegoś niezwykłego. Trzy razy przepłynął kajakiem ocean. Dodatkowo imponował mi tym, że nigdy się nie chwalił. Gdy się spotykaliśmy, gdy udzielał wywiadów, zawsze starał się inspirować swoim sukcesem do spełniania marzeń. Chciał dodać odwagi, śmiałości w snuciu marzeń i namawiał, by zawsze próbować iść w marzeniach o krok dalej.

Wspomnienie, które jest związane z Aleksandrem Dobą, które zapadło panu w pamięć...

Właśnie związane ze spełnianiem marzeń! Była premiera książki „Ocean to pikuś” na targach poznańskich. Przed nami siedziały dzieciaki i Olek zaczął je wypytywać: „A kim chcielibyście być?”. „Kto by chciał być kajakarzem?”. Zgłosiło się parę osób. „No to będziecie kajakarzami!”, a potem mówi: „A pisarzem kto chciałby zostać, tak jak Łukasz Wierzbicki?”. Chłopczyk się zgłosił i Olek go pyta: „Chciałbyś napisać taką książkę, jak Łukasz napisał?”. Ja taki dumny z książką w ręku stoję, chłopiec kiwa głową, a Olek na niego patrzy i mówi: „Wiesz, co ci powiem? Ty lepszą napiszesz!”. Tak sobie pomyślałem: „Jak to lepszą? Przecież ona nie mogła być lepsza” (śmiech). Ale Olek Doba miał rację. Tak właśnie musimy myśleć. I wierzyć w swoje marzenia, nawet jeśli wydają się zuchwałe.

W spotkaniu z **Łukaszem Wierzbickim**,
które odbyło się 7 lutego 2022 r., udział wzięły
Gabriela Kurowska, Małgorzata Lichota i Dobrochna Szafraniak,
rozmowę spisali **Piotr Ciesielski i Zofia Sadło**

Ilustracja **Katarzyny Bajerowicz** z książki „Wokół świata na wariata”
Zdjęcia: archiwum RozJazdów

Na drugą część wywiadu, poświęconą podróżowaniu, zapraszamy do kolejnego numeru RozJazdów!

BĄDŹ TURYSTĄ WE WŁASNYM MIEŚCIE

WYGASŁE WULKANY

To nie tylko podobieństwo kształtu, choć stromo wznoszące się wały otaczające boisko przypominać mogą wulkaniczny stożek, a może bardziej kalderę*. To również podobieństwo, jeśli chodzi o aktywność. Tak jak niegdyś w wygasłych wulkanach bulgotała lava, a w górę w towarzystwie dymu wyrzucane były pyły i okruszki skał, tak w miejscach, które dziś odwiedzimy, tętniły sportowe emocje. Dziesiątki tysięcy głównie piłkarskich kibiców zrywało się z miejsc, kiedy ich ulubieńcy odnosili sukcesy, denerwowało się, gdy wynik rywalizacji był niepewny i ze smutkiem wracało do domów, gdy mecz kończył się porażką. Dziś wokół, tak jak w sąsiedztwie wygasłych wulkanów, jest już cicho i spokojnie. W roku piłkarskich mistrzostw świata (nawet rozgrywanych w tak dziwnych okolicznościach jak te w Katarze) i jubileuszu 100-lecia Lecha Poznań ruszamy w poszukiwaniu starych stadionów. Uprzedzam już na początku, że będzie to wyprawa, którą śmiało można by nazwać urbeksem. Trzeba uważać, gdzie stanąć, żeby nie spaść lub żeby coś nie spadło na nas. Będzie to jednak być może ostatnia okazja, żeby te miejsca zobaczyć. Jeden stadion już dawno zniknął, a trzy kolejne zapewne niedługo podzielą jego los...

Wspólną cechą miejsc, które odwiedzimy podczas naszego kolejnego spaceru na łamach RozJazdów jest to, że ich historia sięga lat 20. i 30. XX wieku. Sto lat temu sportowa topografia miasta była zupełnie inna niż dzisiaj, a kibice kierowali się przede wszystkim na Wildę i Dębiec. My podążymy ich śladami i sprawdzimy, co jeszcze zostało ze stadionów Warty przy ul. Rolnej, Lecha na Dębcu, miejskiego giganta im. Edmunda Szyca oraz niewielkiego obiektu, który powstał na terenie „E” Powszechnej Wystawy Krajowej. Będzie to zatem okazja, żeby opowiedzieć o wyglądzie stadionów i o tym co działo się na boiskach, a działo się sporo, notowano bowiem w Poznaniu rekordy świata, rekordy frekwencji, a kibice mieli okazję być świadkiem wydarzeń, które zapisały się na kartach historii.

Tu pisała się historia poznańskiej piłki i... radiofonii

Najpierw ruszamy na Wildę. Po piłkarskim stadionie nie ma tam już śladu. Uważny obserwator być powiąże fakty i właściwie skojarzy genezę nazwy niewielkiej uliczki „Sportowa”, a potem dostrzeże maleńką tabliczkę na budynku przy ul. Rolnej 31. Napis informuje, że to właśnie tutaj mieścił się stadion poznańskiej Warty. Przez pierwsze kilka lat istnienia powstały w 1912 roku klub był bezdomny i błąkał się po poznańskich błoniach, łąkach i placach. Dopiero w 1920 roku „Zieloni” otrzymali od władz miasta teren sąsiadujący z koszarami saperów i z pomocą wojskowych oraz własnymi siłami zaczęli go porządkować. Co ciekawe za łopaty chwycili wtedy nawet najlepsi piłkarze pierwszej drużyny Warty. Boisko poświęcono 5 maja 1921 roku, a już dwa lata później wzdłuż ulicy Rolnej stała drewniana, zadaszona trybuna mogąca pomieścić około 3 tysięcy widzów. Widoczna na zdjęciach trybuna przypomina tę, która do dziś dodaje historycznego uroku stadionowi w Grodzisku Wielkopolskim. W 1929 roku naprzeciw drewnianej trybuny stanął



Pamiątkowa tabliczka w miejscu dawnego stadionu Warty (fot. Piotr Ciesielski) ▲

Drewniana trybuna stadionu przy ul. Rolnej po II wojnie światowej (fot. Zbigniew Zielonacki, z zasobów Wirtualnego Muzeum Historii Poznania, www.cyryl.poznan.pl) ▼



stadionowy zegar Omega. Do Poznania trafił dzięki zwycięstwu Warty w plebiscycie na najpopularniejszy klub sportowy w Polsce zorganizowanym przez szwajcarską firmę we współpracy z Przeglądem Sportowym. Dokładnie taki sam zegar do dziś odmierza czas w Chorzowie przy ulicy Cichej podczas meczów Ruchu.

Stadion przy ul. Rolnej był świadkiem wielu historycznych wydarzeń. To tutaj Warta, jako pierwszy klub z Poznania, zdobyła tytuł Mistrza Polski w 1929 roku. Również tutaj w tym samym roku przy okazji Powszechnej Wystawy Krajowej „Zieloni” rozegrali towarzyski mecz z Philipsem Eindhoven, który zapisał się w kronikach polskiej radiofonii. Z tego spotkania przeprowadzono pierwszą w Polsce transmisję radiową! Było to nie lada wyzwanie techniczne (trzeba było na Rolną drogą napowietrzną przeprowadzić 1 km kabla) oraz merytoryczne, ponieważ sprawozdawca, student medycyny, Ludomir Budziński, jako pionier nie miał się na kim wzorować. Początkowo przeciw transmisji protestowali gospodarze, bo obawiali się osłabienia frekwencji. Obawy okazały się niepotrzebne, ponieważ na meczu pojawiło się 14 tysięcy kibiców. Udała się zarówno transmisja, jak i mecz, bowiem Warta złała Holendrów 5:2. Wreszcie w 1947 roku w obecności 20 tysięcy widzów Warta pokonała na Rolnej głównego ligowego rywala Wisłę Kraków 5:2 i zdobyła swój drugi tytuł mistrzowski.

Na Rolnej zagrała też reprezentacja Polski, która 8 sierpnia 1926 roku wysoko ograła Finlandię 7:1. Był to pierwszy mecz drużyny narodowej rozegrany w naszym mieście. Trzy gole strzelił zawodnik „Zielonych” Wawrzyniec Staliński, stając się pierwszym w historii reprezentacji autorem hat tricka. Możemy się tylko domyślać, co musiał czuć, kiedy przechodził do historii polskiego futbolu na boisku, które kilka lat wcześniej sam tworzył. Przy Rolnej kibice oglądali wyjątkowe wyczyny nie tylko piłkarzy. W 1927 roku Helena Konopacka ustanowiła na Wildzie rekord świata w pchnięciu kulą oburącz.

Niestety, po wojnie obiekt zaczął znikać. Najpierw w latach 60. XX wieku rozebrano trybunę, a ostatnie mecze pierwszy zespół Warty rozegrał na Rolnej w sezonie 1974/75. Potem boisko do składowania materiałów wykorzystywały pobliskie zakłady Cegielskiego, przez pewien czas był tutaj parking, a ostatecznie kilka lat temu stanęły nowe bloki.

Dębiecki poligon pomiędzy torami

Z ulicy Rolnej niedaleko jest na Dębiec. W sąsiedztwie pętli tramwajowej mieści się Grатовisko, na które być może zdarzyło się nam wywozić problematyczne odpady. Tuż obok, zaraz za sporym opłotowanym parkingiem, znajdziemy furtkę. Jeszcze kilka lat temu w tym miejscu stały zrujnowane budynki kas, które były znakiem sportowej przeszłości. Dziś nie ma po nich śladu. Gdy więc ruszymy przed siebie ścieżką i dotrzemy do zarośniętych drzewami i krzewami wzniesień, możemy poczuć się jak odkrywcy indiańskich miast zagubionych w dżunglach Ameryki Południowej. Możemy teraz wybrać wspinaczkę na koronę wału lub przejście przez bramę wprost na otwartą przestrzeń. Dopiero wtedy zorientujemy się, że stoimy na dawnym boisku, a otaczają nas trybuny lub to, co z dawnych trybun pozostało.

Podczas gdy na Wildzie swoją siedzibę miała Warta, w podpoznańskiej wsi Dębiec swoją historię w 1920 roku zaczął pisać inny klub piłkarski – Lech. Za pierwsze boisko zawodnikom Lutni (bo tak nazywała się na początku drużyna) służyło pole dzierzawione od jednego z dębieckich gospodarzy. Na stadion z prawdziwego zdarzenia trzeba było poczekać do 1934 roku. Rok później miały się odbyć w Poznaniu Ogólnopolskie Igrzyska Sportowe Kolejarzy i na tę imprezę zbudowano całkowicie nowy obiekt.

Po przebudowie z lat 50. XX wieku powstał typowo piłkarski stadion bez bieżni lekkoatletycznej, z trybunami położonymi bardzo blisko boiska. Rozglądając się dookoła, zauważyć można, że



Stadion Lecha na Dębcu (fot. Piotr Ciesielski) ▲

▼ Brama na boisko na Dębcu (fot. Piotr Ciesielski)



prawie z każdej strony znajdują się tory kolejowe. Przez lata dawało to meczom kolorytu. Zmaganiom piłkarzy często towarzyszył gwizd lokomotyw, a grę trzeba było niejednokrotnie przerywać z powodu zadymienia, którego źródłem nie były race, a parowozy. Zawodnicy „Kolejorza” lubili gorącą atmosferę dębieckiego stadionu i nawet, gdy w okresie największych sukcesów, przenieśli się na większy stadion (który nosił wówczas nazwę 22 Lipca), to na ważne mecze chętnie wracali właśnie tutaj. Rekordową frekwencję zanotowano w 1960 roku, kiedy zwycięstwu nad Śląskiem Wrocław w II lidze przyglądało się 25 tysięcy kibiców.

Szczelnie wypełnione trybuny dębieckiego stadionu podczas meczu Lech–Stal (1:1) w 1978 roku (fot. Stanisław Wiktor, z zasobów Wirtualnego Muzeum Historii Poznania, www.cyryl.poznan.pl) ▼



Swoje największe sportowe sukcesy poznański Lech odnosił nie na Dębcu, a przy ul. Bułgarskiej, ale to właśnie tutaj po II wojnie światowej swoją grą kibiców zachwycał legendarny Tercet ABC. Teodor Anioła (najsukuteczniejszy piłkarz w historii klubu), Edmund Białas i Henryk Czapczyk zasłużyli na przydomek „bombardierów”, a stadion nazywano „dębieckim poligonem”. Przed wizytami w Poznaniu przeciwnicy „Kolejorza” na pewno nie mogli spać spokojnie, bytomskie Szombierki przegrały 0:8, by rok później ulec Lechowi 1:11! Kibiców nie dziwiły wyniki takie jak 8:1, 7:0 czy 8:4.

Na Bułgarską Lech przeniósł się w 1980 roku. Na Dębiec pierwszy zespół wrócił jeszcze tylko raz. 17.11.1996 roku ukarany za awantury kibiców grą przy pustych trybunach „Kolejorz” przegrał na starym stadionie ze Stomilem Olsztyn 0:1. Nieliczni śmiałkowie przebieg boiskowych wydarzeń śledzili z dachów hal fabrycznych zakładów Cegielskiego. To był ostatni z 358 meczów, które Lech zagrał na Dębcu...

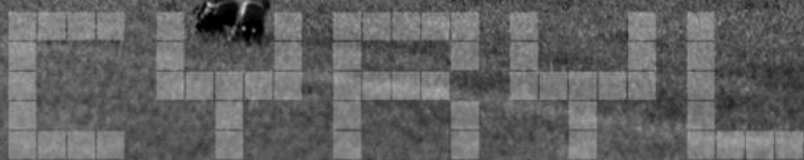
Fatum nad stadionem

Kiedy stadion przy Rolnej zniknął z mapy Poznania, piłkarze Warty swoje mecze rozgrywali już w innym miejscu, bliżej centrum miasta, pomiędzy ulicami Dolna Wilda i Droga Dębińska. W latach 70. XX wieku rekordy frekwencji notował tam również Lech, dlatego i my dawnego Stadionu im. Edmunda Szyca (wcześniej 22 Lipca) nie możemy ominąć. Dziś, jeśli miniemy Multikino 51 i tereny, na których do niedawna znajdowało się olbrzymie targowisko, ujrzymy widok jak z planu postapokaliptycznego filmu. Zupełnie jak na Dębcu. Jeśli prześledzimy historię tego stadionu, możemy odnieść wrażenie, że smutny obraz, który mamy przed oczami, to naturalna konsekwencja ciągu zdarzeń, że po prostu tak to musiało się skończyć. Od samego początku nad obiektem sportowym w tym miejscu ciążyło fatum.



Stadion im. Edmunda Szyca w 2017 roku (fot. Justyna Kędra) ▲

Spotkanie Lech-ŁKS (1:1) w 1975 roku. Stadion Szyca nosił wtedy nazwę 22 Lipca (fot. Stanisław Wiktor z zasobów Wirtualnego Muzeum Historii Poznania, www.cyryl.poznan.pl) ▼



Na Powszechną Wystawę Krajową, którą Poznań zorganizował w 1929 roku, miasto potrzebowało, prócz hal i terenów wystawieni-
niczych również stadionu. Obiekt miał gromadzić tłumy gości pod-
czas oficjalnych ceremonii i imprez towarzyszących wystawie (np.
Wszechsłowiańskiego Zjazdu Śpiewaczego). Zaprojektowaną przez
architekta i miejskiego radnego Sylwestra Pajzderskiego budowlę
wzniesiono zupełnie nie „po poznańsku”. Prace przebiegały szybko
i niechlujnie, lekceważono niepokojące sygnały jak zapadnięcie się
jednego z przęseł. Stadion był gotowy na wystawę i przyjęcie do-
stojnego gościa Prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Trybuny oraz
boisko zostały wypełnione przez liczący 100 tysięcy osób tłum
i niewiele zabrakło do nieszczęścia. Już podczas uroczystości do-
strzeżono spękania konstrukcji, w przerwie dyskretnie ewakuowa-
no prezydenta, a stadion zamknięto kilka godzin po otwarciu. Ze
względu na ryzyko katastrofy budowlanej nie odbyły się tam żadne
ważne wydarzenia ani w ramach PeWuKi, ani przez kolejne dzie-
sięć lat. Potem przez dwa lata okupacji (1941-1943) stadion był
świadkiem dramatycznego losu 2 tysięcy Żydów, których prze-
trzymywano tu w obozie pracy przymusowej.

Po II wojnie światowej stadion przebudowano według panują-
cej wtedy mody. Gigantyczne rozłożyste trybuny na ziemnych wa-
łach mogły pomieścić ponad 40 tysięcy widzów. Przez lata o kom-
plet widzów było trudno, a wysoka frekwencja zdarzała się przy
okazji meczów piłkarskiej reprezentacji Polski lub gdy na bieżni fi-
niszowali kolarze, kończąc etap Wyścigu Pokoju. Sytuacja zmieniła
się w latach 70. XX wieku, kiedy doskonale spisujący się w roz-
grywkach II ligi Lech zaczął przyciągać na swoje mecze tak duże
rzesze kibiców, że nie mogli się oni pomieścić na Dębcu. Zdecydo-
wano o tymczasowych przenosinach na wildeckiego olbrzyma i to
właśnie na Stadionie im. 22 Lipca „Kolejorz” zanotował swój fre-
kwencyjny rekord. Awans do ekstraklasy po zwycięstwie nad Za-
wiszą Bydgoszcz 25.06.1972 roku świętowało 60 tysięcy kibiców!
Stadion znów zmienił wygląd w 1974 roku, kiedy specjalnie na

XXX Centralne Dożynki od strony Drogi Dębińskiej wyburzono część trybuny i zbudowano wielką bramę wjazdową. Jak już wspominaliśmy, w 1980 roku Lech przeprowadził się na Bułgarską, a podczas transformacji ustrojowej patronem obiektu został jeden z założycieli Warty – Edmund Szyca. „Zieloni” cieszyli się tu z awansu i dwóch sezonów gry w ekstraklasie (1993-1995), ale stadion już wtedy nie prezentował się najlepiej. Z każdym kolejnym rokiem stan trybun i infrastruktury się pogarszał, a budowla zamieniała się w ruinę. Taka kolej rzeczy była na rękę ówczesnemu właścicielowi terenu, który liczył, że na miejscu boiska wybuduje osiedle mieszkaniowe. Obecnie właścicielem pozostałości stadionu jest miasto, a wizje zagospodarowania tego firtla kreślą architekci i urbaniści. Na to, że wrócą tu sportowe emocje i wydarzenia takie jak mecze reprezentacji Polski (10 razy) lub finały Pucharu Polski (dwukrotnie) nie ma co liczyć, przeznaczenie terenu będzie inne...

Jeśli ruin i miejskiej archeologii jeszcze jest komuś mało, można wybrać się w sąsiedztwo Areny. Tam znajdował się obiekt, którego gospodarzem po wojnie był Klub Sportowy Energetyk. Sam stadion metrykę miał znacznie starszą, bowiem drewniana trybuna pamiętała czasy Powszechnej Wystawy Krajowej. Podczas PeWuKi odbywały się tu m.in. plenerowe wieczorne spektakle,

Stadion im. Edmunda Szycy w 2017 roku. Widoczne pozostałości bramy wjazdowej zbudowanej na Centralne Dożynki w 1974 roku (fot. Justyna Kędra) ▼



partie żywych szachów, pokazy ratownicze (np. „wojna przyszłości”), wystawa psów, wyścigi samochodowe, ale również pierwszy w historii mecz reprezentacji Polski w hokeju na trawie (niestety przegrany 0:4 z Czechosłowacją). Drewniana trybuna została podpalona w 2010 roku i dziś można zobaczyć już tylko bramę wejściową i stanąć pośrodku rozległego, porośniętego chwastami placu, który kiedyś był boiskiem.

W tym roku w maju erupcja piłkarskich emocji spodziewana jest w zupełnie innym miejscu. Największym stadionem w Poznaniu jest miejski obiekt przy ulicy Bułgarskiej. To tam ciągną dziesiątki kibiców, żeby dopingować Lecha. Być może niebawem sportowa atmosfera powróci na Wildę, gdzie „Zieloni” będą mogli cieszyć się nowym stadionem? Rolna, Dębiec, Stadion Szyca są już tylko wygasłymi wulkanami. Jak każdy wulkan są też świadkami historii i aktywności. Nie była to jednak nigdy aktywność sejsmiczna, ale równie gorąca namiętność sportowa.

tekst: **Piotr Ciesielski**

* Tak, tak... Nauczycielowi geografii wszystko kojarzy się z jednym i nigdy nie przepuści okazji, żeby popracować nad jednym z celów kształcenia zapisanych w podstawie programowej – rozumienie specjalistycznych pojęć i posługiwanie się terminami geograficznymi. Jeśli nie pamiętacie, co oznacza pojęcie „kaldera”, sprawdźcie!

Korzystałem z:

F. Czekąła, T. Mikszo, Pewuka. Cud nad Wartą, Poznań 2019

F. Czekąła, Historie warte Poznania, Poznań 2016

J. Djaczenko, Gdzie mieszkał Lech?, w: KMP 1/2022, Poznań 2022

R. Nawrot, P. Leśniowski, A. Grupa, Lech Poznań – klub z Dębca, w: KMP 1/2004, Poznań 2004

Strona internetowa Warty Poznań, Rok 1921: Pierwszy stadion Warty Poznań przy ul. Rolnej, <https://wartapoznan.pl/index.php/2021/08/09/rok-1921-pierwszy-stadion-warty-poznan-przy-ul-rolnej/>, dostęp 25.03.2022

Wikipedia Wolna Encyklopedia, artykuł Lech Poznań, https://pl.wikipedia.org/wiki/Lech_Poznań, dostęp 25.03.2022

Wikipedia Wolna Encyklopedia, artykuł: Stadion im. Edmunda Szyca, https://pl.wikipedia.org/wiki/Stadion_im._Edmunda_Szyca, dostęp 25.03.2022

O JEDNĄ ZAPORĘ ZA DALEKO

Tekst jest relacją z epickiej wyprawy Koła Turystycznego do Doliny Bobru. Wyjazd odbył się w dniach 21-23 maja 2018 roku, udział wzięło w nim 16 osób oraz opiekunowie prof. Martyna Kęsik i prof. Piotr Ciesielski. Wspomnieniami podzielili się Julia Zawadzka, Karina Kowalczyk i Wiktor Kroker.

▲ Poprzez Pogórze Kaczawskie

Bóbr. Rzeka o długości 272 kilometrów, największy lewy dopływ Odry. Swoje źródła ma w Czechach, a potem przepływa przez Janowice Wielkie, Jelenią Górę, Wleń i Żagań. Dla Koła Turystycznego Bóbr stał się tematem, szlakiem i towarzyszem wędrówki. Najpierw zobaczyliśmy rzekę z okien pociągu, a potem przez trzy słoneczne majowe dni szliśmy wzdłuż jej brzegów, przechodziliśmy ponad nią po mostach i spływaliśmy z jej nurtem na pontonach.

Bóbr został przegrodzony licznymi zaporami, tworząc sztuczne zbiorniki, dzięki którym zapewniono okolicznym mieszkańcom energię oraz ochronę przed powodzią. Pierwszego dnia naszej wędrówki za cel postawiliśmy sobie Zaporę Pilchowice. Druga co do rozmiarów w Polsce, kamienna ściana o wysokości 62 metrów. Od zapory do miejsca naszego noclegu miało być już blisko... Tylko ani nie było blisko, ani zaporę nie pozwalała się łatwo znaleźć.



▲ Na zaporze w Pilchowicach ▼ Przed wodowaniem na Bobrze ▼ W Siedlęcinie jako Rycerze Okrągłego Stołu



Owszem, mineliśmy kolejno zapory na elektrowniach Bobrowice i Wrzeszczyn, ale potem droga nie chciała się skończyć, plecaki zaczęły ciążyć coraz bardziej, a Zapora Pilchowice zdawała się bawić z nami w chowanego. Wygraliśmy, ale zwycięstwo przypłaciliśmy dotarciem do schroniska już po zmroku i solidnym zmęczeniem.

Oczywiście nie samymi zaporami Koło Turystyczne podczas wycieczek żyje. Co przydarzyło się nam jeszcze? Co najbardziej zostało w pamięci uczestników?

Najciekawsze miejsce — ratusz we Lwówku Śląskim (ładna budowla, z legendą o nieszczęśliwych zakochanych), wieża widokowa na Wzgórzu Krzywoustego z pięknym widokiem na Jelenią Górę i Karkonosze i spływ pontonami po Bobrze! W Siedlęcinie widzieliśmy jedyne na świecie średniowieczne malowidła przedstawiające historię Lancełota i Ginewry.

Najtrudniejszy moment — kiedy okazało się, że to jeszcze nie ta zaporą, a potem ostatnie 3 km w drodze do pierwszego noclegu. Cały czas pod górkę, z masą zakrętów, końca drogi nie było widać, a nogi już odpadały.

Największe zaskoczenie — łóżka na noclegu w Lwówku, bo miało ich nie być i przygotowani byliśmy na nocleg na podłodze. Jeszcze szybkość, z jaką pokonaliśmy trasę spływu. Droga z Wlenia do Lwówka zajęła nam 3,5 godziny, a ponoć niektórzy wiosłują 5, a nawet 7 godzin!

Tekst wyjazdu — „Kierownik wycieczki odpowiada za zwalone drzewa na szlaku”.

Najśmieszniejsza sytuacja — wspólna gra w „Time’s up!” i skojarzenia z nią związane. Hasło „jajko” lub „kwadrat”? Przecież to jasne, że wyrazy te kojarzą się odpowiednio z Kajko i... Krzysztofem Rutkowskim.

Najciekawsza spotkana osoba — pani, która otworzyła przed nami drzwi ratusza w Lwówku, zabrała nas do lochu głodowego i wyjaśniła, dlaczego należy zwracać uwagę, czy wyrzeźbione postacie trzymają się prawymi, czy lewymi dłońmi. Byli też panowie robotnicy z noclegu w Lwówku, którzy okazali się bardzo miłym towarzystwem i pan Mietek, który wyczarował tam dla nas łóżka i dwa czajniki.

Dlaczego warto było pojechać? Jak zwykle: wspaniała atmosfera, piękne widoki, przygody. Do tego można było odpocząć i spędzić czas w towarzystwie świetnych ludzi!

maj 2018 ■



PATRZĄC NA PÓŁNOC

Czy nie byłoby przyjemnie poczuć się trochę jak odkrywca? Tak też właśnie pomyślałem, będąc w pierwszej klasie liceum, i ku mojemu zdziwieniu, nie trzeba było wcale szukać odległych szlaków, zaśnieżonych pagórków, rozszalałych fal oceanu czy zatłoczonych metropolii. W zasadzie nie trzeba było nawet opuszczać Poznania. Postanowiłem odpocząć od szelestu szkolnych podręczników, skrobania długopisem i zrobić sobie dzień wolny... Wyszedłem, nie wiedząc właściwie, gdzie się udać. Sięgnąłem po kompas i spojrzałem na czerwoną igłę – na północ!

Na pierwszy rzut oka obszary te można określić jako nieciekawę, szczególnie w porównaniu do tak kuszących lasów Puszczy Zielonki (trochę na wschód) albo, obracając się za siebie (na południe), terenach Wielkopolskiego Parku Narodowego. Jednak ważne jest to, co nieodkryte, dzikie, zapuszczone i zapomniane. Celem nie jest być turystą we własnym mieście, a odkrywcą własnego miasta.

MIASTO-TWIERDZA

Swoją podróż rozpocząłem przy parku Cytadela. Ta nazwa, podobnie jak choćby rondo Kaponiera – nie jest przypadkowa. Fortyfikacje silnie odbiły swoje piętno na miejskich planach, wszystko za-

częło się jeszcze długo przed zaborami, chociaż nie ma co odma-
wiać pruskim inżynierom wpływu na kształty współczesnego Po-
znania: odizolowana od centrum lokalizacja dworca, zwarte Stare
Miasto czy Fort Winiary, nazywany po prostu Cytadelą, przy któ-
rym się znalazłem. Był to kiedyś największy obiekt tego typu w Eu-
ropie, jednak równie ciekawa jest historia terenów otaczających
mury twierdzy. Dawno temu przez Poznań przepływało wiele
mniejszych lub większych cieków wodnych, o których dzisiaj na-
wet nie mamy pojęcia, mimo że istnieją. Przykładowo: na pierw-
szych mapach miasta można dostrzec, że rzeka Flisa przepływała
przez środek współczesnego placu Wielkopolskiego! Co się z nią
stało? Jeszcze przed zbudowaniem twierdzy, aby przyspieszyć bieg
i wytworzyć energię potrzebną do zasilania młynów, ulokowano
strumień na akwedukcie. Oczywiście – żadnego akweduktu współ-
cześnie w Poznaniu nie mamy (a szkoda).

Idąc wzdłuż murów starej fortecy podejrzenie ruchliwą ścież-
ką pieszo-rowerową poniżej ul. Szlągowskiej, usłyszałem szum
wypływającej pod ciśnieniem wody. Zszedłem z ubitego duktu i zo-
baczyłem ciemną, ceglana jame, z której wydobywa się niemała
struga wody. Tu trzeba być bystrym lub przeczytać wystarczająco



dużo książek, by skojarzyć fakty, że to właśnie Flisa, czy mówiąc bardziej współcześnie: Bogdanka. Ta sama rzeka, którą mijam, gdy jadę niemal codziennie estakadą PST z Mostu Teatralnego do ul. Słowiańskiej, wpadająca do podziemnych kanałów burzowych, które podobno ciągną się aż pod sam rynek i mają swoje ujście tu, tuż przy końcu Ostrowa Tumskiego.

ZA WSPOMNIENIAMI STARYCH I NOWYCH CZASÓW

Idąc dalej na północ spostrzegam, że ulica powyżej coraz bardziej się oddala. Znowu zszedłem z wygodnej asfaltowej drogi i zapuszczonymi schodami, wspinając się po terasie Warty, dotarłem na starą aleję kasztanową. Około 200 metrów dalej zobaczyłem stojącą na piedestale postać w meloniku, z laską i sztucерem. Podstarzały mężczyzna czekał nieruchomo, przekazując informację: „To były lata 20. XX wieku, kiedy zakładaliśmy w tym parku strzelnicę bractwa kurkowego”. Pomyślałem: gdzie ta strzelnica? Ruszyłem przed siebie, obserwując uważniej. Kilka drzew, zniszczone schody i rdzawa strużka spływająca po wykutych w kamieniu, spękanych stopniach w stronę Warty. Ciekawe, skąd w centrum miasta źródło z taką zawartością żelaza... Obszedłem dookoła znalezisko, odpowiedź okazała się dość prozaiczna – woda wypływała ze skorodowanej rury.

Spojrzałem na polanę otoczoną kilkoma platanami. Na starych poręczach wisiały zdjęcia i pocztówki. Pożółkły obraz przedstawiał dawną restaurację, kręgielnię i pawilon koncertowy, które w latach świetności wypełniały się gwarem przybywających tu na odpoczynek i dla rozrywki poznaniaków.

Ze zdjęć wynikało, że strzelnica powinna znajdować się gdzieś powyżej, za linią drzew, na granicy parku, jednak tam zobaczyłem tylko białą bryłę. Trzeba jej oddać, że jest świetnie zakamuflowana w lokalnym krajobrazie wśród zieleni. Zdecydowanie niedoceniana perła polskiego modernizmu! Nieco zaniedbany tarasowy budynek kolegom z nowego millenium, że da się budować funkcjonalnie, z dużymi oknami skierowanymi w stronę rzeki udowadniał swoim



Ogród Strzelecki na Szelagu, Restauracja, lata 30./40. XX wieku



niedrogo i z klasą. Prawdopodobnie z powodu swojego przeznaczenia – jako dom spokojnej starości – nie cieszy się dziś zbytnim zainteresowaniem.

Porównując różnice w podejściu do architektury, spostrzegłem wśród nowo wybudowanych przybytków coś intrygującego. Ma to związek z historią. W 1925 roku, zaledwie 4 lata przed Powszechną Wystawą Krajową, Poznań nadal nie miał żadnej metody pozbywania się śmieci. Ładowały one po prostu za murami miejskimi. To musiało się zmienić, dlatego władze zakupiły dziesięć śmieciarek i zarządziły budowę spalarni śmieci przy ul. Wilczak. I właśnie: strzelisty budynek z charakterystycznym ceglany kominem, który wyróżnia się znacznie wśród otaczających go nowo wybudowanych bloków, to on skupił moją uwagę.

WZDŁUŻ WARTY

Powróciłem do rzeki. Zza mostu Lecha wyłonił się kolejny komin – elektrociepłowni Koziegłowy. Schodząc z utartych, twardych duków, wkroczyłem w płataninę ścieżek na charakterystycznych łąkach porośniętych gdzieniegdzie skupiskami krzewów i małych drzewek, typowych dla terenów podmokłych.

Mając po prawej stronie Wartę, nagle spostrzegłem, że woda pojawiła się też z drugiej strony. Kilkaset metrów dalej zorientowałem się, że znalazłem się na półwyspie. Z jednej strony nowa, z drugiej – stara dolina rzeczna. Czy oznacza to, że muszę zawrócić? Nie, jest inna opcja. Na końcu cypla znajdował się „pomost”, a raczej ułożone na konarach deski. Mrożące krew w żyłach (z obawy o szansę na nieprzejsię suchą stopą) parę powolnych kroków, kilka skoków między pałkami wodnym i już znalazłem się na stałym lądzie.

Ścieżka zaczynała jednak zanikać. Co chwilę meandrowała między drzewami. Trzeba było się schylać i wymijać powalone konary porośnięte agresywnie kwitnącym dzikim chmielem wplatającym się w krzewy głógów i małe leszczyny. Wiosenny rozkwit był zabójczy. Dało się odczuć rozszalały głód przyrody, tak nienatural-

ny dla często pospolitych i rachitycznych miejskich roślinek. Prze-
wijały się jak w kalejdoskopie różne barwy – nie tylko zieloni. Od
purpurowych niecierpków, różnych odcieni różu, bieli wiosennych
kwiatów, granatów i czerwieni, po pospolitą żółć nawłoci. Ten
energiczny wybuch kwitnących pąków doprowadził mnie do płaczu,
wprawdzie alergicznego, ale to już coś.



Wyszedłem na otwarty teren naramowickich łąk. W samym
środku wielkiej polany przebiega wyróżniający się na tle krajobra-
zu obiekt – długa estakada. Filar za filarem betonowe podpory,
zamalowane przez anarchistyczne hasła i inne formy sztuki ulicz-
nej, przecinają niemal sielski obraz nadwarciańskiej łąki. Sama
konstrukcja jest estakadą linii kolejowej. Jeśli udać się na zachód,
dotrzemy nią do Kiekrza, natomiast jadąc na wschód, trafimy
w okolice Swarzędza. Swego czasu tym osiemsetmetrowym mo-
stem nad rzeką jeździł pociąg „Chrobry” – bezpośredniej relacji
Szczecin–Warszawa, bez zatrzymania w Poznaniu, co pozwalało
mu bić rekordy trasy. Dziś można tu zobaczyć tylko wolno toczące
się wagony pociągów towarowych.

Przechodząc przez łąki, zagajniki i lasy sosnowe, jak i bardziej
oryginalne i atrakcyjne stare dębowe drzewostany, po przekrocze-
niu Różanego Potoku i stawów, które tworzy, dotarłem do tajemni-
czego ogrodu.



W TAJEMNICZYM OGRODZIE

Bram zarośniętego parku na specyficznych wzgórzach pilnowały żółte słoneczniki. Wspinając się na tajemnicze wzgórze, słyszałem odgłosy najróżniejszych ptaków. To dzięki miarowo popukiwał w korę starego jesionu, to z innej strony dobiegał szybki, wibrujący, lecz „miękki” świergot kowalików. Przechodząc przez dywan stworzony z małych żółtych kwiatków, od których park wziął swoją nazwę, zacząłem piąć się w stronę zwieńczenia „Kokoryczkowego wzgórza”. Gdy znalazłem się na szczycie, moim oczom ukazała się mała ruina ceglanego zamku. Nie wydawało się realne, żeby rzeczywiście służył ludziom w czasach średniowiecznych. To pozostałość po romantycznych upodobaniach dawnych właścicieli. Poniżej, na południowym stoku, dojrzałem mały cmentarz.

Omszałe nagrobki przechowały pamięć o pierwszych właścicielach ogrodu. Zarośnięte kamienie z wyrytymi imionami i nazwiskami, z powtarzającym się: „von Treskov” milcząco wspominają historię ostatnich członków rodu mieszkającego w Wielkopolsce do końca II wojny światowej.



Z parku udałem się prosto na przystanek autobusowy „Radojewo”. Spojrzałem na zegarek i pomyślałem, że o tej porze pewnie bym właśnie kończył lekcje... Autobus podjechał. Wsiadłem.

NIEOSZLIFOWANY DIAMENT POZNANIA

Dojechałem do pętli autobusowo-tramwajowej przy osiedlu Sobieskiego. Znów spojrzałem na północ i chwyciła mnie myśl: przecież jestem tak blisko miejsca znanego i rozpoznawalnego dla wszystkich adeptów geografii! Po kilkunastu minutach szybkiego marszu wchodziłem już na teren rezerwatu „Meteoryt Morasko”.

Sosnowy las przywitał mnie piaszczystymi ścieżkami, które co rusz poprzecinane są trasami dla rowerzystów „górkich”. W pewnym momencie uporządkowany, nasadzony drzewostan przeistoczył się w zaplątany, zarośnięty krzewami i opleciony bluszczem las gądowny. Podejście zaczynało się robić strome. Po prawej stronie w małej dolince widziałem wyschnięty staw, bagnista ziemia nienaturalnie pozbawiona była wody. Piąłem się dalej w górę. Teren polodowcowego wzgórza wydawał się bardzo nienaturalny, jak nie z tej ziemi. Aż wreszcie nie było już nic wyżej. Znalazłem się na szczycie najwyższego wzniesienia Poznania – Góry Moraskiej. Nie mając czasu na zbyt długą kontemplację braku widoków z zarośniętego szczytu, ruszyłem znów na północ.



Przeszedłem obok dziwnego dołu, który okazał się pozostałością starej żwirowni, i dotarłem do ul. Meteorytowej. Przecinała zalesiony rezerwat niczym wartka rzeka – mijały mnie samochody pędzące z niewskazaną prędkością, za szybko jak na lokalną drogę.

Dotarłem do pierwszego krateru. Niby nic, zwykłe jezioro i tak też myślano długi czas. Dyskusje na temat pochodzenia zbiorników trwały wiele lat. Czy osobliwe stawy są pozostałością lodowca, czy mają w sobie pierwiastek kosmiczny? Dziś wszelkie wątpliwości są już rozwiane. Wiadomo, że w tym miejscu około pięć tysięcy lat temu spadł deszcz meteorytów. Nie wiadomo w zasadzie: ile ich było – pierwszy został odnaleziony już za czasów pruskich, przez jednego z oficerów podczas ćwiczeń wojskowych na zboczach wzgórza. Inne z kolei zostały wmurowane w stodołę, wraz ze zwykłymi kamieniami przyniesionymi przez lodowiec.

Słońce pomału chyliło się ku zachodowi. Dotarłem w pobliże zbiornika wody słodkiej przy ul. Morenowej. Usiadłem na trawie i wpatrywałem się w panoramę Poznania. Sięgając wzrokiem aż po horyzont, widziałem wzgórze Wielkopolskiego Parku Narodowego, bardziej na wschód „Bałtyk”, obok czerwony budynek Collegium Altum, a patrząc prawie na północ – dalszą część Warty i Dziewiczą Górę z charakterystyczną wieżą obserwacyjną.

Zacząłem się zastanawiać: ile jest jeszcze nieoszlifowanych diamentów na świecie? Skoro tak blisko mnie jest ich już całkiem sporo... I ile jest takich, które powoli wysychają, tracą kolory, zostaną rozjechane przez samochody czy zabudowane opłotowanymi, zakratowanymi osiedlami? Czy w rozjazdach, czy na własnym podwórku – miejsc, które zasługiwałyby na odkrycie, opisanie i zapamiętanie? I tych, jak się wydaje, już zapomnianych. Ostatni raz tego dnia spojrzałem na północ, wstałem z myślą, że trzeba to zmienić.

tekst i zdjęcia: **Igor Stryniak**

Na zdjęciach (w kolejności): Kanał burzowy, którym Bogdanka uchodzi do Warty; Archiwalne zdjęcia Parku Szelałgowskiego na pozostałościach ogrodowej bariery; Estakada w Naramowicach na linii kolejowej nr 395; Chmiel zwyczajny oplatający głóg jednoszyjkowy; Niecierpek gruczołowaty; Lnica pospolita między trawami; Cmentarz rodziny von Treskov w parku w Radojewie; Szczyt Góry Moraskiej

KONTROLA PASZPORTOWA

Imię. Nazwisko. Paszport. Po co pan/pani tu przyjechał/a? Czy ma pan/pani coś do oclenia? Niezmienny zestaw pytań powtarzających się kiedyś przy przekraczaniu każdej granicy. My też postanowiliśmy przygotować stały kwestionariusz dotyczący podróżowania, a o odpowiedzi będziemy prosić obecnych członków Koła Turystycznego oraz absolwentów.

Dziś kontrolę graniczną przechodzi **Wojciech Pruss**, uczeń klasy 3G_B, który do tej pory wziął udział w czterech wyprawach Koła Turystycznego.



Top 5 miejsc z Twojej listy wymarzonych miejsc do odwiedzenia.

1. Ameryka Południowa (cała, ale ze specjalnym miejscem dla Peru z Ekwadorem)
2. Wietnam
3. Koło podbiegunowe (zorzę polarne + renifery brzmią jak plan)
4. Nowa Zelandia
5. Patagonia

Góry czy morze?

Fiordy :D

Zawsze na czas czy wiecznie spóźniony?

Zdecydowanie częściej na czas niż w niedoczasie.

Miejsce, które w odbytych do tej pory podróżach zrobiło na Tobie największe wrażenie?

Wydaje mi się, że swoją różnorodnością, utopijnym klimatem i dobrym jedzeniem kupiła mnie portugalska Madera.

Motto w podróży:

Doświadczyć jak najbardziej lokalnych rzeczy — ze szczególnym uwzględnieniem knajpek, gdzie mało który turysta trafia ;)

Przed wyjazdem pełen spokój czy rajzefiber?

Na spokojnie, wszystko zazwyczaj ogarnięte z wyprzedzeniem, dlatego przed samym wyjazdem pozostaje wyczekiwanie.

Na Giewont w szpilkach czy w klapkach?

Klapki, ale nie japonki.

Jaki nastrój, taka pogoda czy jaka pogoda, taki nastrój?

Zdecydowanie jaki nastrój taka pogoda.

O wszystkim mogę zapomnieć, ale zawsze spakuję do plecaka...

Mój doświadczony przez świat kubek termiczny.

Twoja najbardziej szalona podróżnicza przygoda.

15-godzinna podróż pociągiem zawierająca element spania na półce bagażowej klasyfikuje się zdecydowanie w mojej topce „szalonych podróżniczych przygód”.

Najsmaczniejszy lokalny przysmak, który jadłeś.

Niestety, nie potrafię skategoryzować tego co jem, natomiast szczególne miejsce na liście najsmaczniejszych rzeczy jakie jadłem w podróży zajmują wszystkie sezonowe owoce jakie udało mi się zjeść w miejscach ich występowania.

Jak trafiłeś do Koła Turystycznego?

Zostałem zachęcony przez znajomą z rocznika wyżej.

Najlepszy sposób na relaks po wyrzpie z Kołem — krótka drzemka czy partyjka Time’s Up! z prof. Matuszewskim w drużynie?

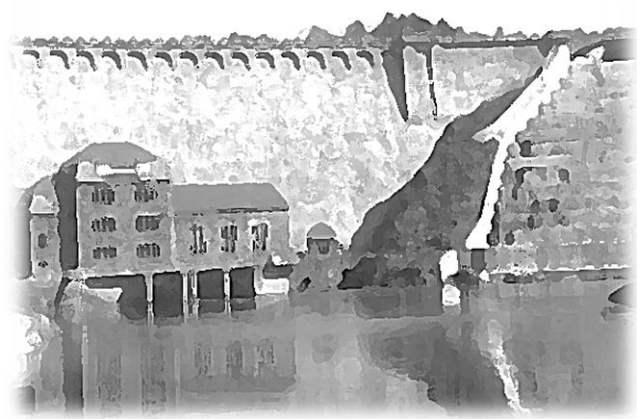
Time’s Up! z prof. Matuszewskim, co jest niepowtarzalnym doświadczeniem, w którym człowiek rozwija się nie tylko społecznie, ale też kulturowo.

Co najbardziej lubisz w wyjazdach z Kołem?

Swobodną atmosferę podczas rozmów na tematy turystyczno-podróźnicze, no i oczywiście szanse odwiedzenia nowych dla mnie miejsc.

Zapora Pilchowice?

Może kiedyś podejmę wyzwanie.



Pismo „Rozjazdy”

nr 7 / 2022

publikacja: maj 2022

Wydawca:

Koło Turystyczne im. Tadeusza Perkitnego
i Leona Mroczkiewicza w IX LO w Poznaniu



Opiekun wydawniczy: Piotr Ciesielski

Redaktor naczelna: Nikola Wolszczak

Redakcja techniczna: Igor Stryniak

Grafika, rysunki: Milena Podlas i Helena Olachowska

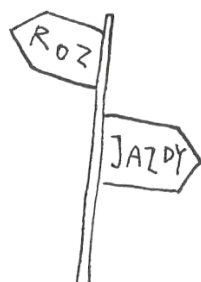
Promocja: Julia Kolińska i Przemysław Staszczak

Zdjęcia w numerze: kronika Koła Turystycznego i archiwum „Rozjazdów”



A znaleźć nas można również

na Instagramie
oraz Facebooku.



Drogi Czytelniku i Droga Czytelniczko,

mamy nadzieję, że ten numer „Rozjazdów” okazał się pożyteczny, interesujący czy po prostu przyjemny. Jeśli chciał(a)byś współtworzyć pismo i dołączyć do naszego zespołu, to serdecznie zapraszamy do kontaktu pod adresem:
rozjazdy@glopoznan.pl